

Artem Czech
Dzielnica D



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

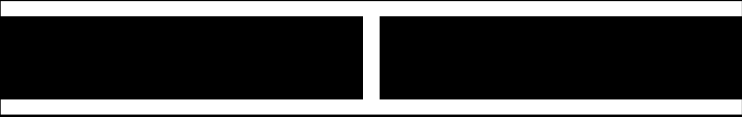
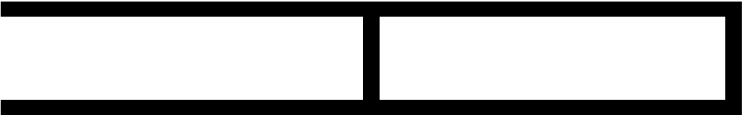
Szanujmy cudzą własność i prawo!



Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na
www.legalnakultura.pl

Wschodni Express
Seria wydawnicza



Artem Czech

Dzielnica D

Przełożył Marek S. Zadura

Warsztaty Kultury

Lublin 2022

Dzielnica 0

Rzadko tak się zdarza, a jednak Artemowi Czechowi się udało: nie tylko nie znalazłem ani jednej nieprzychylnej recenzji poprzedniej jego książki *Punkt zerowy*, ale też nie spotkałem ani jednego czytelnika, któremu by się ona nie spodobała. Osiągnięcie autora robi tym większe wrażenie, że *Punkt zerowy* to zbiór szkiców, reportaży czy też krótkich esejów o „dziwnej” ukraińsko-rosyjskiej wojnie w Donbasie, która toczy się od wiosny 2014 roku, ale po dziś dzień wywołuje u obywateli Ukrainy bardzo niejednoznaczne reakcje. Ideologiczne i polityczne przyczyny „konfliktu na Wschodzie”, strategia i taktyka prowadzenia walk, nieumyślne błędy czy rozmyślne zdrady naszego dowództwa w odpowiedzi na rosyjską agresję – wszystko to są tematy, które nawet starych przyjaciół łatwo doprowadzają do zapiekłych dyskusji.

Z powodu *Punktu zerowego* dotychczas tego typu dyskusji nie było. Główna przyczyna takiego stanu rzeczy wydaje mi się oczywista: Artem Czech napisał nie o ideologii i polityce, nie o strategii i taktyce, on w ogóle prawie nic nie napisał o wojnie – napisał o życiu żołnierza na wojnie. Przy czym, jak twierdzą członkowie jury Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego, napisał na tyle dobrze, żeby zainteresować czytelników także poza granicami Ukrainy. A propos, poza językiem polskim *Punkt zerowy* został już przełożony na język angielski, a wkrótce, podobno, ukaże się także w językach: niemieckim i czeskim.

Po sukcesie tego zbioru prozy dokumentalno-autobiograficznej wielu czytelników (w tym i ja) spodziewało się, że następna książka Artema Czecha będzie powieścią wojenną. Z jednej strony, takie oczekiwania wydawały się logiczne: trafiwszy do wojska, pisarz każdego dnia notował różne spostrzeżenia, przemyślenia, odczucia. Szczęśliwie wróciwszy z frontu do domu, mógłby – jak mamy prawo myśleć

– przetworzyć swoje notatki w jakąś większą literacką formę. Ale z drugiej strony, my po prostu przegapiliśmy wyznanie, które znalazło się już na pierwszej stronie *Punktu zerowego*: „Choć wiedziałem, że mnie też na pewno zmobilizują. Jak nie w styczniu, to w kwietniu. Jak nie w kwietniu, to w czerwcu. Takie rzeczy się przeczuwa. Nawet zwolniłem się z pracy. Chciałem książkę dokończyć. Nie zdążyłem”.

Dzielnica D – to właśnie ta książka, którą Artem zaczął pisać jeszcze w styczniu 2015 roku i nie zdołał ukończyć jej przed mobilizacją, tak więc skończył ją już podczas służby w wojsku. I właśnie dlatego nie jest to powieść wojenna. Choć może w jakimś stopniu jednak jest to powieść. Mimo że tak naprawdę to zbiór opowiadań, ale kiedy te opowiadania – poprzedzone prologiem i zakończone epilogiem – wyrażnie stanowią spójną całość, koncentrującą się na postaci głównego bohatera i umieszczoną w tym samym miejscu i czasie, to dlaczego nie może to być jednak powieść? Natomiast o wojnie z *Dzielnicy D* dowiemy się niewiele: tylko tyle, że ona jest i że autor na niej był. A o czym człowiekowi na wojnie, siedzącemu w pełnym błota i odchodów okopie w oczekiwaniu na ostrzał ze strony wroga, najprzyjemniej jest wspominać? O utraconym rajach dzieciństwa i młodości – nawet wtedy, kiedy to dzieciństwo i młodość przypadły na biedne lata transformacji od schyłkowego okresu radzieckiego do wczesnego okresu niezależności Ukrainy i minęły w nie najładniejszej dzielnicy nie najładniejszego miasta.

Artem Czerednyk – bo takie jest prawdziwe nazwisko pisarza – urodził się i dorastał w Czerkasach. Można powiedzieć, że do Czerkas bardzo pasuje nieśmiertelne dziennikarskie sztamkowe określenie „miasto kontrastów”, choć tak naprawdę to ono pasuje do prawie każdego ukraińskiego miasta. A przynajmniej do tego, które potrafiła spaskudzić władza radziecka, a ona w większym czy mniejszym stopniu potrafiła spaskudzić każde miasto ukraińskie. Pięknie

położone, na wysokim prawym brzegu – środkowego biegu – Dniepru, od początku lat sześćdziesiątych XX wieku Czerkasy rozbudowywały się jako przemysłowa stolica regionu i bardzo szybko stały się, jak opisuje je Artem: „nieskazitelnym tworem przyrody, choć niewątpliwie zdegradowanym przez industrializację”.

Jeszcze ostrzejszy, niż pomiędzy naturalnym pejzażem a radziecką architekturą, jest kontrast pomiędzy dawną przeszłością Czerkaszczyzny a jej historią najnowszą. „Ziemia Bohdana i Tarasa” – widzimy wielki billboard, stojący już na samym wjeździe na teren obwodu czerkaskiego. Przecież to jest miejsce urodzin najwybitniejszego dowódcy kozackiego (przemilczmy pozostałe aspekty jego działalności) Bohdana Chmielnickiego i największego ukraińskiego poety Tarasa Szewczenki. A także – warto to dodać – ziemia legendarnego Chołodnego Jaru, znanego i z hajdamaczyzny, i z zaciekłych bitew z bolszewikami w czasie ukraińskich walk o odzyskanie niepodległości. Aż trudno uwierzyć, że w czasie gdy tam się rodził Artem Czerednyk, Czerkasy już były totalnie zrusyfikowanym miastem radzieckim, z którego, jak mówi autor *Dzielnicy D* – zawsze chciało się uciekać.

Jeszcze trudniej dzisiaj uwierzyć, że w dzieciństwie i młodości Artem też był typowym zrusyfikowanym czerkaskim chłopcem, którego przeszłość i przyszłość Ukrainy mało co obchodziła. A już na pewno nie mogło mu się wtedy śnić, że kiedyś pójdzie na front bronić Ukrainy z bronią w ręku. Jedenastoletni Artem pojechał na wycieczkę do czeskiej Pragi i tak zachwycił się jej pięknem, że potem długo opowiadał o niej swoim kolegom z klasy. To z tego powodu przezywano go Czechem. Artem przeciwko temu nic nie miał, a później, przeprowadziwszy się do Kijowa i zaczawszy pisać, wykorzystał to szkolne przezwisko jako pseudonim artystyczny. Krótko mówiąc, Czechem został wcześniej niż Ukraińcem.

Dla polskiego czytelnika to, co teraz powiem, może zabrzmieć nieco dziwnie. Polski czytelnik wie, że polscy pisarze bywają awangardowi bądź tradycjonalistyczni, lewicowi bądź prawicowi, liberalni bądź konserwatywni, wierzącymi bądź ateistami, zwolennikami władzy bądź jej przeciwnikami i tak dalej. Ale mimo wszystko, jeśli polski pisarz urodził się w Polsce, mieszka w Polsce i jest obywatelem Polski, to on w ten czy w inny sposób jest powiązany z polską kulturą, pisze w języku polskim i właśnie dlatego jest polskim pisarzem. Na Ukrainie sytuacja wygląda inaczej. Miliony zamieszkujące miasta Ukrainy, będąc z pochodzenia Ukraińcami i mając ukraińskie obywatelstwo, zwykle rozmawiają ze sobą po rosyjsku i czują się o wiele bardziej przywiązani do kultury rosyjskiej niż ukraińskiej.

Wyjaśnienie tej sytuacji jest proste: dla dziesiątków pokoleń przodków współczesnych Ukraińców, początkowo w Imperium Rosyjskim, potem w Związku Radzieckim – język rosyjski był warunkiem koniecznym do tego, by lepiej żyć, a często by – w sensie fizycznym – w ogóle przetrwać. U Ukraińców stopniowo wytworzył się charakterystyczny dla skolonizowanych narodów kompleks niskiej wartości własnej i przekonanie o wyższości kultury kolonizatora. W pierwszych latach niezależności ten kompleks nadal był aktualny: ukraińskie państwo i ukraińska kultura były zbyt słabe, więc wielu młodych ludzi, którzy marzyli o karierze artystycznej, w dalszym ciągu wpatrzonych było w Rosję. Potrzebne było jakieś doniosłe wydarzenie, które tym młodym ludziom umożliwiłoby wiarę w perspektywę ukraińskiej kultury w ogóle, a szczególnie literatury.

Dla Artema Czecha – i nie tylko dla niego – takim wydarzeniem stała się Pomarańczowa Rewolucja. To właśnie po pierwszym Majdanie Artem zaczął pisać teksty literackie w języku ukraińskim. Teraz swoje wczesne utwory ocenia bardzo krytycznie, ale najważniejsze jest to, że je wtedy

w ogóle napisał. Zresztą może nie wszystkie są aż tak złe, skoro na przykład książka *Czego nie znajdziecie w Yandeksie* w 2007 roku wygrała w konkursie „Miejska młodzieżowa powieść”. Później miał kilkuletnią przerwę w twórczości, wybuchł Euromajdan i wojna z Rosją, w wyniku czego Artem Czech znowu zajął się literaturą i – jak się okazało – z po prostu ukraińskiego pisarza przeistoczył się w dobrego ukraińskiego pisarza, o czym już przekonali się czytelnicy *Punktu zerowego* i, mam nadzieję, przekonają się czytelnicy *Dzielnicy D*.

Z pewnością nie ma sensu przytaczać tu fabuły zebranych w tej książce historii. Powiem tylko tyle. Wiedząc, że *Dzielnica D* jest w znacznej mierze książką autobiograficzną, szukałem w niej początków Artema jako człowieka i jako pisarza. W jakiej atmosferze i w jakim środowisku się wychowywał? Jacy ludzie i jakie wydarzenia miały na niego wpływ?

Wszystko to znalazłem. Raz z humorem, raz ze smutkiem autor maluje nam zbiorowy portret kilkudziesięciu mieszkańców swojej, jak już wspomniałem, nie najładniejszej, to znaczy beznadziejnej, to znaczy całkiem zwyczajnej i typowej dzielnicy w tak samo zwyczajnym i typowym mieście ukraińskim. Do tychże mieszkańców należą: były niemiecki policjant Fedia Katorżny, bohater pozytywny wujek Koka, element kryminalny Kola i Alik, alkoholik Sania, też alkoholik, ale w dodatku także komunista Serhij, sekciarze religijni Dima i Mitia, rozhisteryzowana sąsiadka w stadium starczej demencji Ewuszka, rosyjska inteligentka Szkłowska; cała, odstająca pod względem intelektualnym, rodzina Kudziów i taka sama Wisłouszkinów; pierwsza wielka miłość autora – tajemnicza dziewczyna Koreanka; jeszcze jakiś narkoman i miłośnik rosyjskiej muzyki więziennej; aha, i jeszcze banderówka Wira Iwaniwna i jej nieudany pod względem wychowawczym wnuk...

Być może najciekawszy paradoks *Dzielnicy D* polega właśnie na tym, że większość ukazanych w tej książce ludzi, jak i większość opisanych w niej zdarzeń, wydawałoby się, nie mogła sprzyjać ukształtowaniu się ukraińskiego pisarza i obrońcy ojczyzny. Ale mimo wszystko jednak sprzyjała.

Ołeksandr Bojczenko

Przełożył Marek S. Zadura

Prolog

Czyż nie jest tak, że człowiek zaczyna życie jako uroczne dziecko, które wierzy święcie we wszystko pod dachem swojego ojca? A potem nastaje dzień laodycejski, kiedy dowiadujesz się, że jesteś marny, nieszczęśliwy, biedny, ślepy, nagi, i z tą wizją upiornego, udręczonego ducha – idziesz, drżąc cały, przez koszmarnie życie.

Jack Kerouac, przeł. Anna Kołyszko

Czerkaszczyzna... „Ziemia Bohdana i Tarasa” – informuje napis na wielkim billboardzie, stojącym tuż przy wjeździe na teren obwodu czerkaskiego. Bezcenne dziedzictwo życiodajnych łąnów i gęstych gajów, kolebka Kozaczyzny, wielka i mała ojczyzna znanych ludzi i miejsce znaczących wydarzeń historycznych, nieskazitelną twórczość przyrody, choć niewątpliwie zdegradowany przez industrializację.

W początkach drugiej połowy dwudziestego wieku Czerkasy, chociaż były miastem prowincjonalnym, to jednak jednym z najbardziej rozwiniętych, z nowoczesnymi fabrykami, zielonymi parkami, zadbanymi (one takie wtedy były) kwartałami. W latach sześćdziesiątych przemysł ciężki domagał się coraz to nowych ofiar, które gotowe były złożyć swe ciało i swą duszę na ołtarzu przemysłu chemicznego. Niepowstrzymany potok przybyszów z okolicznych wsi i miasteczek dodawał mniej więcej stałemu i szaremu życiu kulturalnemu nowych barw. Miasto, ze swym dotychczasowym proletariackim rytmem życia, zderzyło się z nowym rytmem, nową kulturą, czy też raczej jej brakiem. A zresztą i tak cała ta masa ludzka wymieszała się w fabrycznych młynach i do połowy lat osiemdziesiątych stworzyła przeciętnego, statystycznego czerkaszana. Nie był on ani trochę Bohdanem, ani nawet odrobinę bardziej Tarasem, ale

polityczny i społeczny radziecki system wartości zapobiegł kompletnej ich degeneracji, choć tym samym odciął życiodajny tlen tym, którzy chcieli wzbić się wyżej bądź też rzucić się na głębsze wody.

Przez całe dzieciństwo i młodość, aż do czasu zakończenia szkoły, otaczały mnie potężne granice geograficzne i uwarunkowane przez nie bariery psychologiczne. Były one na tyle wyraźne i precyzyjne, że nawet w myślach przeskoczyć by się ich nie dało. Z jednej strony moje dzieciństwo było ograniczone przez Czerkaską Tamę – długi nasyp ziemny przechodzący przez Zbiornik Krzemieńczucki, a z drugiej... przez przejazd kolejowy, za którym zaczynała się wieś Cersarska Słoboda i trasa na Czehryń. Dokładnie tak... tama i przejazd. Dwie podstawowe i nieosiągalne granice realnego, a nawet wyimaginowanego świata: dalej nie było gdzie już iść, dalej było niebezpiecznie, dalej była ciemność, a tak w ogóle to pojawiały się olbrzymie rozterki, czy dalej w ogóle cokolwiek jest, poza kosmicznym pyłem i polarnym mrozem.

Zawsze chciało się stąd uciekać. Ucieczka, jako ratunek, była dla miejscowych normalnym paradygmatem marzeń i pragnień. Ale będąc dzieckiem, nie wiesz, dokąd miałbyś biec i właśnie z tego powodu nie odczuwasz takiego pragnienia. Twój świat – to twoi rodzice, szkoła, podwórko, brudna klatka schodowa, a także wymalowane na parkanie za kołtównią hasło: „Lenin to król złodziei”... Po co, ale przede wszystkim dokąd, miałbyś uciekać? Wszystko tu jest dla ciebie oczywiste, normalne, przyjazne, czyste – a przede wszystkim są tu zaspokojone twoje podstawowe potrzeby: masz poczucie rodzinnego ciepła, świadomość realnych i wyimaginowanych granic własnego świata, strefę komfortu, strefę rekreacji, wyraźną linię toru wodnego na Dnieprze, wierne stado rówieśników, mających interesy względnie wspólne z twoimi. Ale z czasem myśli o ucieczce nie da

się uniknąć. One stają się tak natrętne jak, powiedzmy, myśli o śmierci. Ucieczka jest więc nieunikniona. Najważniejsze to uświadomić sobie, że jesteś przecież wolnym człowiekiem i masz wystarczająco dużo siły woli, by to zrobić. I oczywiście wierzyć, że miasto cię wypuści.

Większość z tych, o których jest ta książka, byli uciekinierami. Czerkasy stały się dla nich punktem „B”, do którego, po długich poniewierkach przez eurazjatycki kontynent, docierali, aby osiąść i zapuścić korzenie duszy w radioaktywnym betonie. Ale z czasem życie zaczynało uwierać, a szczęście i tak się nie pojawiało, i wtedy wyruszali na poszukiwanie nowych miast, ciepłych krajów i gniazd, czyli terytoriów, na których można zbudować takie miejsca, w których warto jest żyć, i takie, dla których warto było przeżyć (albo co najmniej zrozumieć, dlaczego warto jest żyć i po co warto było przeżyć). I gdzie można będzie płodzić podobnych do samych siebie.

Urodziłem się w Czerkasach, kilometr od wspomnianego przejazdu. Moje podwórko – to dwa ostatnie bloki w Czerkasach: Pacajewa 5 i Czehryńska 56. Dwie czteropiętrowe chruszczówki, które wtedy wydawały mi się potężne i nie do zdobycia, niczym mury Minas-Tirithu, ale z czasem okazało się, że one tylko cudem jeszcze utrzymują się na powierzchni wody. Dosłownie na powierzchni wody, ponieważ na głębokości dwóch metrów poniżej fundamentów było zwierciadło wód gruntowych. Zimnych i szarych – jak rtęć. Każdego roku pracownicy gospodarki komunalnej wbijali pod nasze budynki konstrukcyjne pale, kopali rowy, które zapobiegały zalewaniu piwnic i parterów, jak zawsze zagrożonych podtopieniem. Mieszkańcy bloku podkładali pod meble deski, stawiali na nie ciężarki od hantli, żeby kupione na raty i zdobyte w bojach i ze stratami w komisach komplety po prostu nie odpłynęły, niczym w kultowym dziele Camerona.